Czesław Kulesza

Wyobraźmy sobie, że wojny nie ogłasza się w telewizji, tylko zawiadamia się, że jest, listem poleconym.

„Szanowny Obywatelu,
w związku z obroną demokracji i praw człowieka uprzejmie informujemy, że pański rachunek za gaz wzrośnie o 23%, ceny energii o 18%, a budżet państwa przesunie kolejne miliardy z ochrony zdrowia na wydatki obronne. Dziękujemy za zrozumienie."

Brzmi absurdalnie? A jednak dokładnie tak działa współczesna polityka siły.
Zanim jeszcze padły pierwsze komunikaty o izraelsko-amerykańskim ataku na Iran, świat zdążył przywyknąć do obrazów z Gazy. Do zniszczonych dzielnic, do cywilów ginących pod gruzami, do dramatycznych raportów o głodzie i braku wody. Masowa śmierć Palestyńczyków stała się tłem. Tłem, które miało „wyjaśniać" kolejne działania militarne.
Teraz słyszymy, że chodzi o bezpieczeństwo regionu. O zapobieganie eskalacji. O obronę wartości. W tej narracji wojna jest środkiem zapobiegawczym. Rakiety mają przynieść pokój. To logika „pokojowych militarystów" — ludzi, którzy z całą powagą mówią o prawach człowieka, gdy ich sojusznicy bombardują całe dzielnice.
Czy Iran jest państwem, które można uznać za wzór postępowości? Oczywiście, że nie. To system opresyjny, represyjny wobec kobiet i opozycji. Ale od kiedy bombardowanie autorytarnego państwa przynosi jego demokratyzację? Jugosławia nie stała się bardziej stabilna po nalotach. Irak nie stał się wolny po „operacji wyzwolenia". „Wojna z terroryzmem" nie zakończyła terroryzmu — za to stworzyła nowe pokolenia ludzi, którzy dorastali w ruinach.
Każda z tych wojen miała swój moralny komentarz. Każda była opisywana jako wyjątkowa. A wszystkie łączyło jedno: utrzymanie określonego układu sił. Status quo nie polega na braku przemocy. Polega na kontrolowaniu jej w taki sposób, by służyła dominującym.
Dziś świat znajduje się w fazie przeciągania liny. Administracja Trumpa gra twardo, bez złudzeń co do subtelności. Chiny i inni globalni gracze odpowiadają własną kalkulacją. Stary porządek międzynarodowy chwieje się, ale nowy nie powstał. W tym chaosie nie ma żadnej „normalności" — są tylko bardziej lub mniej przewidywalne kryzysy.
I właśnie ta rosnąca nieprzewidywalność jest wykorzystywana jako argument za dalszą militaryzacją. Skoro świat jest niebezpieczny — trzeba się zbroić. Skoro napięcia rosną — trzeba uderzać szybciej. Strach staje się paliwem politycznym.
Tymczasem my widzimy to inaczej. Widzimy rosnące rachunki. Widzimy przesuwanie środków z usług publicznych do przemysłu zbrojeniowego. Widzimy, że za globalne rozgrywki płacimy w sklepie, na stacji benzynowej, przy rozliczeniu rocznym.
Wojny nie przychodzą z hukiem. Najpierw przychodzą jako uzasadnienie. Potem jako budżet. Dopiero na końcu jako dramat.
Najbardziej ironiczne jest to, że każda próba powiedzenia „zatrzymajmy się" traktowana jest jak przejaw słabości. Apel o pokój bywa uznawany za brak realizmu. Jakby realizm oznaczał zgodę na niekończące się konflikty.
Może więc warto odwrócić pytanie. Nie: czy Iran zasługuje na krytykę. Zasługuje. Ale: czy kolejne uderzenie w region, który już płonie, jest drogą do czegokolwiek poza kolejną

destabilizacją?
Jeśli historia ostatnich trzydziestu lat czegoś uczy, to właśnie tego: wojny rozpoczynane w imię stabilizacji destabilizują najbardziej.
A rachunek? On naprawdę przyjdzie. Tyle że nie będzie w nim ani słowa o demokracji. Tylko liczby.

Czesław Kulesza